

Na diagnozę jest już za późno

Branżowy pokaz wymaga (przynajmniej w jakiejś części) uczestnictwa „branży”, jakakolwiek by ona była. Na pokazie *Na Lightcie* z branży byli wszyscy, bo przecież wszyscy branżę znają, a nawet jeśli nie znają, przynajmniej wiedzą, o co chodzi. Grupa korpuskularna Light Off do końca chyba jednak nie wie.

Sygnowany trzema nazwiskami projekt (grygier, fibich, nykowski) oparty na analogowych wspomnieniach anonimowego technika oświetlenia to próba syntezy samotności technika teatralnego zamkniętego w czarnym ciele teatru offowego z buntem czterdziestolatka pragnącego po raz ostatni zakwitnąć jak storczyk.

Niestety. Grygier już od pierwszych minut jest niewidoczny, osacza widzów kaskadą barokowych komentarzy z wielu dziedzin teatru, które w swojej chaotycznej kompilacji sprawiają wrażenie scenicznego bełkotu. Ze sceny na scenę temat przytłacza aktora, który bez przekonania próbuje zrzucić zawodowe niepowodzenia na barki swojego bohatera, którego scenicznym losem w pewnym momencie zaczyna sterować mała metalowa kulka.

Fibich, której ostatnie produkcje dotyczyły spraw bardzo ważnych społecznie, jak wykluczenie, inność, ludzkie losy zakłute w guzikach – tu wyjątkowo nie radzi sobie z tematem. Jakby tęskniąc za industrialnymi przestrzeniami portowych doków, w których może dać upust swoim wyrafinowanym wizualnie pomysłom, tu na małej pudełkowej czarnej scenie umieszcza bohatera w chaotycznym ciągu sytuacji, zostawiając na pastwę rupieci.

Zdziwiła mnie także obecność w tym projekcie Piotra Nykowskiego, który, przy dobrej passie ostatnimi czasy, powinien czujniej dobierać sobie artystów do współpracy, choć światło w *Na Lightcie* potwierdza jego teatralne wyczucie i dobre oko. Jest być może jednym z najjaśniejszych elementów spektaklu.

W scenie finałowej, kiedy Grygier niczym Jazon z *Gwiezdnego Patrolu* przemierza przez sceniczny śmietnik, torując sobie drogę światłem profilowego reflektora, z zakłopotaniem obserwowałem nieudolność i braki w technice pantomimy, którą aktor wykorzystuje w tej scenie. A wystarczyłoby obejrzeć wspaniałą pracę w ruchu Henryka Tomaszewskiego w *Męczeństwie i śmierci Marata* lub *Odejściu Fausta*, które jest swoistym kompendium wiedzy w pracy z plastyką ruchu i wyjątkowym warsztatem dla ruchów *slow motion*, by poprawić i zsynchronizować choreografię.

Katastrofalnie spektakl wypada, jeżeli chodzi o dykcję. Nawet na tym polu, mający wykluczającą scenicznie wadę wymowy aktor zbiera niskie noty.

Niczym światelko pin-spota, swoistym promykiem nadziei jest brawurowo wykonana scena fizycznego treningu aktorskiego, inspirowana ćwiczeniami Ryszarda Cieślaka. Grygier, który we wcześniejszych spektaklach imponował sprawnością fizyczną, zmusza swe atletyczne ciało do nieludzkiego wysiłku, czym wzbudza uznanie wśród widzów. Jednak ta jaskółka wiosny nie czyni. Performatywny okręt *Na Lightcie* przez blisko półtorej godziny konsekwentnie idzie

na dno. Na dno, z którego nawet robot Jacquesa Cousteau nie będzie w stanie go wydobyć.

Myśląc z zafascynowaniem o tym nieudanym koktajlu struktur świetlnych, ruchowych i recytacji, próbowałem postawić diagnozę wskazującą wirusa, który opanował w całości to performatywne „dzieło”. Niestety, nie potrafiłem. Zrozumiałem, że na diagnozę jest już za późno.

(B. Sz.)

Recenzja napisana na zamówienie na podstawie anonimowej kwerendy przeprowadzonej w grupie branżystów metodą black jack.